

Kot w jednym bucie

Piotr
Rychel



WYDAWNICTWO / BAJKA





Rozdział 1

Przez las, na trójkołowym rowerku jechał kot. Wyglądał dość zabawnie, bo rowerek był mały, a kot już nie. Zarośla rozstępowały się przed nim, żeby natychmiast kiedy przejedzie, zstąpić się z powrotem. Próbował sobie przypomnieć, dokąd jedzie... i skąd, ale na darmo. Głowa aż mu spuchła z wysiłku.

Początkowo nie słyszał lekkiego chrobotania, ale dźwięk stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż zaczęło skrzypieć, dudnić i zgrzytać niemiłosiernie. Zrobiło się tak głośno, że się obudził. Powoli otworzył jedno oko i rozejrzał się uważnie. Odechnął z ulgą. Leżał w swoim łóżku, a właściwie na fotelu, który przyciągnął ze śmietnika.

Hałas na chwilę ustał, po czym dudnienie wróciło ze zdwojoną siłą.

– Ach, to moje kiszki – powiedział półgłosem, trochę uspokojony i zaniepokojony jednocześnie.

Usiadł na posłaniu, przeciągnął się i już całkiem przytomnym wzrokiem omiótł pokój. Chociaż słowo „pokój” może wydawać się trochę na wyrost. Ot – mała komórka w piwnicy z niewielkim oknem, przez które nic nie można zobaczyć. Tyle tylko, że kiedy dzień był słoneczny, wpadały przez nie wesołe żółte promienie, a w taki dzień jak dziś – mizerne szarobure światło.

Ulicą przejechał samochód, głośno rozchlapując wodę z kałuży.

– Kocie! – mruknął do siebie kot. – Rusz swoje cztery litery. – Miał na myśli ogon, oczywiście.

Nadal jednak siedział nieruchomo. Po chwili kieszki jeszcze raz odtrąbiły pobudkę i nie było rady. Kot włożył jeden but (drugiego po prostu nie miał), wziął szczerbaty grzebień i wyszedł.

Rozdział 2

We wsi Kusowizna życie płynie wyjątkowo ślamazarnie. Coraz więcej młodych, skuszonych niewolniczą pracą w korporacjach wyjeżdża do miasta. I chociaż starzy czują się opuszczeni, a może nawet zdradzeni, to prześcigają się w opowiadaniu, jak wspaniale układa się ich dzieciom w wielkim świecie.

Na skraju tej wsi stoi stary dom oparty o starą stodołę. Mieszka tu dla młodych stare, a dla starych jeszcze młode małżeństwo.

Pewnej niedzieli żona wróciła z kościoła.

– Podstuchałam coś całkiem przypadkiem. Nie zgadniesz, jak o nas mówią... – Zawiesiła głos, dając do zrozumienia, że to jest pytanie.

– Kto? – spytał.

– Ludzie. We wsi.

– Nie zgadnę – zgodził się mąż.

– Dziad i baba! – powiedziała z rezygnacją w głosie.



Podeszła do lustra. Obok stanął mąż. W lustrze zobaczyli piękną, sztywnie ubraną kobietę i przystojnego mężczyznę.

– Dziad i baba! – Parsknęli jednocześnie śmiechem.

I tak już zostało. Do dziś mówią do siebie „Babo” i „Dziadu”.

A dlaczego ludzie we wsi tak, przynajmniej to otwarcie, nieżyczliwie ich nazywali? Trudno powiedzieć... Chyba coś ich odróżnia od pozostałych mieszkańców...

Rozdział 3

Owce, kury, dwa konie, sad i ogródek zapewniały im codzienne zajęcie i utrzymanie.

Nie mieli dzieci, chociaż bardzo by chcieli. Starali się jednak o tym nie rozmawiać.

Wiadomo, że dzieci nie przynoszą bociany ani nie znajduje się ich w kapuście, ale... gdyby tak przejść się polami...

Dziad czasem siadał na konia i ruszał na przejażdżkę. Przyglądał się, jak jego sąsiedzi z dorastającymi synami pracują w gospodarstwach, budują wiaty w ogrodach, naprawiają traktory, i marzył, że też mógłby coś zbudować z synem albo wyruszyć z nim w nieznane.



– Zbuduję sobie łódź! – powiedział do żony po powrocie z jednej z takich przejażdżek.

– Może lepiej samolot. – Baba (która tak naprawdę miała na imię Anna) potraktowała to jako żart.

– Może samolot... – Nie wyczuł ironii w głosie żony.

Stało się jednak na łodzi i już następnego dnia w stodole zaczęły piętrzyć się stosy desek i narzędzi. Od tej pory Dziad każdą wolną chwilę spędzał w stodole, budując łódź, która okazała się dość dużym statkiem. A im więcej przy niej pracował, tym więcej miał jeszcze do zrobienia. Wymyślał ciągle nowe ulepszenia i latami odwlekał moment, kiedy skończona łódź położy kres jego marzeniom o wspólnym rejsie – tylko on i syn, i wiatr, i woda...

– Arturze – czasami mówili do siebie po imieniu – wyjdź z tej ciemnej stodoły i rozejrzyj się po świecie. Owce mają już tak długą sierść, że za chwilę powieszają sobie pacyfki zamiast dzwonków, włożą kwiaty we włosy i ruszą do San Francisco.

Żona dbała, żeby Dziad wracał do rzeczywistości, ale rozumiała, że budowa łodzi wyznacza mężowi cel w życiu i nadaje mu sens. Sama zresztą też miała swoje niewinne hobby.

Niewinne na początku, z czasem jednak zmieniło się w mroczną (ale tylko trochę) tajemnicę.

Zostawmy ich jednak na chwilę i wróćmy do kota, który właśnie wyszedł z domu.



Rozdział 4

Kot wyszedł na podwórkę, przeciągle się przeciągnął, usiadł, posiedział chwilę, próbując uczesać ogon, wstał i nonszalancko ruszył w kierunku śmietnika.

Tak opisałby to mało uważny obserwator. W rzeczywistości – mimo że kot wychodził ze swojego domu codziennie (piszę „dom”, bo kot by tak powiedział, ale chyba tylko on) – za każdym razem przeżywał wielką przemianę. Kim innym był, zanim wyszedł, i zupełnie kim innym potem.

Chociaż dom kota różnił się od większości domów, jakie znał, i choć brakowało w nim wielu rzeczy i trudno by go nazwać przytulnym, kot czuł się w nim dobrze. Był bezpieczny. Znał wszystkie pająki w kątach. Nawet jeśli był głodny, to był to jego własny, bardzo dobrze mu znany głód. A gdyby ktoś na przykład chciał go posmyrać za uchem, to bardzo chętnie by na to przystał. Gdyby nie musiał, nie opuszczałby tego miejsca. Ale wyjść trzeba.

Zawsze kiedy stawał na pierwszym schodku, dopadały go niepokój i zniechęcenie i już zaczynał tęsknić za miejscem, którego jeszcze nie opuścił. Potem jeszcze dwa schodki i był na progu, już niby spokojny, ale w pełni gotowy na nie-wiadomo-co. Następny krok i... krew zaczynała bulgotać mu w żyłach. Do jego duszy wdzierały się duchy przodków – samotnych myśliwych sprzed tysięcy lat. I musiał z całych sił naprężyć mięśnie, wysunąć pazury, najeżyć sierść, żeby to wszystko wytrzymać. Z boku owszem, mogło to wyglądać tak, jakby się tylko przeciągał. Potem, wyczerpany i oszołomiony, siadał, czekał, aż krew się uspokoi i oddech wyrówna, i ruszał na polowanie. Ale nie takie krwawe, nie. Chociaż wspierały go duchy przodków, swój instynkt łowcy wykorzystywał w dość niecodzienny sposób. Zaraz o tym powiem, ale teraz zajrzyjmy jeszcze raz na wieś.



Rozdział 5

Wspomniałem, że Anna... (pamiętacie, ta Baba, która mieszkała z Dziadem na skraju wsi) miała tajemnicze hobby. Początkowo było to zwyczajne zamiłowanie do fotografii. Kupiła sobie kiedyś stary, używany aparat i chodziła z nim na długie spacery. Zdjęcia robiła piękne. Fotografowała głównie przyrodę: ptaki kąpiące się w kałuży, bociany na łące, stare drzewa czy też wschody i zachody słońca. Kiedyś weszła z aparatem do kościoła. Zrobiła kilka zdjęć i wyszła. Nie minęło parę dni i była tam z powrotem. Tym razem jednak nie sięgnęła po aparat. Z torebki wyjęła świeczkę i zapaliła przed figurą świętej Anny.

– Dzień dobry, święta Anno. – Uznała widzieć, że przywitanie musi być chociaż trochę podniosłe. – Też mam na imię Anna. I mam takie marzenie... Na pewno wiesz... Skoro spoglądasz na nas z nieba, to nie ma dla ciebie tajemnic.

I tyle. Nie rozgadywała się, usiadła w ławce i pozwoliła, żeby jej myśli i uczucia swobodnie ulatywały do nieba. Może ktoś tam wzruszy się jej losem i sprawi, że będzie mogła zostać mamą.

Z czasem aparat fotograficzny stał się tylko pretekstem do wyjścia z domu. Już nawet nie zakładała filmów. Spacerowała chwilę dla zachowania pozorów, żeby na koniec iść i zapalić świeczkę przed kolejnym świętym w nadziei, że może ten zechce jej wysłuchać.

Trwało to miesiącami. Przychodziła, sprzątała ogarki – wiecie, takie niedopalone świeczki – i zapalała nowe świece, trochę pomilczała, ale nadziei miała coraz mniej.

Pewnego zimowego wieczoru po wyjściu z kościoła, kiedy przechodziła obok starej wierzby z ogromną dziuplą, drzewo jęknęło przejmująco. Zatrzymała się... Poczuła lekki dreszcz. Wiatr – nie wiatr...? Zapadł już zmrok i niewiele było widać. Kształt drzewa wydał jej się podobny do jakiejś fantastycznej

postaci, ni to człowiek, ni to kozioł... Poczuła, że w tym starym drzewie jest więcej życia i cudów niż w posągach świętych. Wystraszyła się tej myśli, bo z daleka widać było, że to herezja. Przeżegnała się jedną ręką, drugą sięgając do torby po ogarek. Dygocząc, zapaliła go i pośpiesznie, nie oglądając się, ruszyła do domu.

Od tego czasu święci w kościele mają swoje świece, a duch zaklęty w wierzbie – ogarek.

Rozdział 6

Na śmietniku można znaleźć dużo fajnych rzeczy.

– Na przykład to. – Kot z zaciekawieniem oglądał jakiś przedmiot. – Ciekawe, co to? – mruknął do siebie.

Odłożył to coś na ziemię i dalej przeczesywał żółty kubek z napisem „Tworzywa sztuczne”. Znalazł jeszcze parę rzeczy o równie nieokreślonym przeznaczeniu i równie nieprzydatnych. Odłożył je, poprzyglądał się im chwilę i wrócił do poszukiwań. Przerzucił się na pojemnik z napisem „Szkoło”.

– Ożeż ty! – mamrotał, starając się wyciągnąć korek z zielonej butelki.

Po chwili dał za wygraną i próbował tylko dojrzeć przez szkło, czy jest coś w środku. Szkło jednak było ciemne, matowe i nieprzejrzyste.

– Ciekawość to moje drugie imię. – Nawiasem mówiąc, kot miał nieskończenie dużo drugich imion, za to nie wiadomo, czy miał jakieś pierwsze. – Nie spocznę, dopóki nie dowiem się, co jest w tej głupiej butelce!

Zapomniał na chwilę o głodzie, ale głód nie zapomniał o nim, i razem z duchami przodków, chwilowo zamieszkującymi duszę kota, obmyślał sposób na zdobycie śniadania. I obmyślił.

Z niebieskiego pojemnika wyjął kawałek tektury, wziął butelkę i wyszedł na ulicę. Chwilę się rozglądał, po czym ruszył w kierunku sklepu.

Ekspedientka, nie przerywając pracy i nie podnosząc wzroku, rzuciła:

– Co słychać, kocie bury?

Jednak zanim odpowiedział, zreflektowała się.

– Albo lepiej nic nie mów. Nie mogę spać po tych twoich opowieściach.

– Mam małą, nietypową prośbę – powiedział, uśmiechając się.

– Nietypową? Czy to znaczy, że nie chodzi ci o jedzenie, picie albo pieniądze?

– Oczywiście, że nie! – oburzył się kot. – Już dawno przestałem liczyć na pani dobre serce.

Kiedy usłyszał swoje słowa, wiedział już, że posunął się za daleko.

– Żartuję, żartuję oczywiście. Tyle razy uratowała mnie pani przed śmiercią głodową. Tak naprawdę to panią kocham. – Chyba znowu się zagalopował.

Zanim ekspedientka zdążyła poukładać sobie w głowie sprzeczne myśli, kot położył na ladzie tekturkę ze śmietnika.

– Proszę napisać tutaj jedynkę i parę zer. – Prośba rzeczywiście była nietypowa.



– Tyle zer wystarczy?
– Jeszcze dwa. – Przechylając głowę i mrużąc oczy, przyglądał się cyferkom.
– Bardzo proszę. – Pani zza lady wracał dobry humor.
– Niech pani dopisze jeszcze jedno i będziemy kwita.
– Ciebie, kocie, już nikt nie nauczy manier. – Spojrzała na niego trochę surowo, trochę bezradnie, lecz z wyraźną nutą sympatii, i dopisała piąte zero. – Ciekawe, po co ci to.

Ale kot nie zdążył odpowiedzieć, bo był już za drzwiami. Po chwili jednak znów się pojawił.

– Dziękuję! – krzyknął. I zniknął ponownie.

Nie odszedł daleko. Kilka metrów od sklepu usiadł sobie na chodniku pod ścianą. Obok postawił butelkę i oparł o nią teksturę z cyferkami. Omiótł wzrokiem okolice. Brzydka pogoda (dobrze chociaż, że już nie pada), mało ludzi, wszyscy oślonięci przed wiatrem dokądś się śpieszą.

– Nie będzie łatwo – mruknął, pozwalając, żeby głód przypomniał o swoim istnieniu.

I nie było. Siedział tak chyba z godzinę, zanim zatrzymał się przy nim pewien jegomość w kapeluszu i zapytał:

– Sto tysięcy? Za tę butelkę? Ha, ha, ha! – zaśmiał się teatralnie. – Ale sto tysięcy czego? Muszelek chyba!

– No... pieniędzy? – Chwilowo głowa kota okazała się pusta. Starał się zyskać parę sekund na zastanowienie, zawiązując sznurówkę przy swoim jedynym bucie. – Chciałem powiedzieć tych... no... dolarów, oczywiście.

– Ludzie! Czy wy to słyszycie? – Mężczyzna odwrócił się w stronę przechodniów. – Ten kot chyba całkowicie zwariował. Zobaczcie sami, co on tu chce sprzedać! Ha, ha, ha, ha! I to za ile...

„Nie ma to jak dobra reklama”, zataił ręce kot, spoglądając na gromadzących się wokół gapiów.

– Bo to jest, proszę państwa, butelka magiczna! – Zrobił tajemniczą minę.

Ludzie nie wyglądali na przekonanych.

– A czy widział ktoś gadającego kota? – spróbował innej strategii. – Ja, na przykład, nie tylko mówię w kilku językach, ale potrafię też czytać i pisać.

– Taki mądry jesteś? To dlaczego chodzisz w jednym bucie?
– ironicznie zaśmiał się mężczyzna w eleganckim dresie. Śmiech okazał się zaraźliwy.

Kot przeczekał harmider i spytał:

– A czy widział ktoś kota w dwóch butach? – I zanim pan w dresie otworzył usta, dodał: – Opowiem wam prawdziwą i niezwykłą historię... Jeśli chcecie. – Dał ludziom chwilę na zastanowienie się, czy chcą.

Chyba chcieli. Nawet pan w dresie wyglądał na zainteresowanego.

Rozdział 7

Początkowo kot opowiadał dość niemrawo. Rozkręcał się jednak z każdym słowem i wszyscy słuchacze, bez wyjątku, dali się ponieść opowieści. Historia nie była nowa. Każdy ją zna, bo kto w dzieciństwie nie miał książki o Kocie w butach? Ale teraz można było poznać wiele nowych szczegółów z życia sławnego bohatera, czasem zabawnych, czasem wzruszających, a niekiedy mrożących krew w żyłach.

Mówca miał talent i bez trudu poruszał czułe struny. Co chwila ktoś ukradkiem ocierał sobie łezkę. Nie ominęło to nawet pana w dresie, którego oczy zaszkliły się, kiedy kot opowiadał o szczęśliwych chwilach spędzonych z dziadkiem, znanym właśnie jako Kot w butach.

– Mój dziadek nie zjadł złego czarodzieja, który ponoć zamienił się w myszkę. – Mówca ujawniał kolejne nieznane fakty. – Bo po pierwsze, ten czarodziej nie był taki zły, tylko miał trudne dzieciństwo, nikt go nie kochał, nie wsparł go dobrym słowem, a w szkole dokuczali mu koledzy. Po drugie, od wielu już pokoleń w mojej rodzinie się nie polowało. Moi przodkowie nie jedli surowego mięsa, tylko, jak przystało na szlachetnie urodzonych, pieczone przy wykwinie zastawionym stole. Jednak najważniejszą przyczyną, dla której czarodziej nie został przez dziadka zjedzony, była moja babcia. Kotka czarna jak noc, która mieszkała u złej wiedźmy. Kot w butach smalił do niej cholewki... Nie, nie do wiedźmy, do kotki. Wiedźma, niestety, nie pozwalała im się spotykać. A jak na złość w bezszelestnym poruszaniu się przeszkadzały kotu niemiłosiernie skrzypiące buty. Wpadł wówczas na genialny w swej prostocie pomysł. Podstępem zwabił czarodzieja do butelki i szybko ją zakorkował. A ten, dosłownie nabity w butelkę, obiecał pomóc mojemu dziadkowi przepędzić wiedźmę.

Kot ciągnął opowieść, w której co chwila zdarzał się nieoczekiwany zwrot akcji: a to wielka miłość między czarodziejem i czarownicą, a to przemiany kotów w ludzi i odwrotnie.

– I właśnie ta oto butelka z czarodziejem w środku to moja jedyna pamiątka po dziadku. – Kot zbliżał się do końca historii, wzruszony swoją opowieścią. – Sprzedaję ją z ciężkim sercem... – W oczach miał łzy. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale głos mu się całkiem załamał.

Ludzie stojący wokół nie śmieli przerywać ciszy. Pierwszy z tłumu wyszedł pan w dresie i zbliżył się do kota.

– Nie pękaj, stary. – Wyjął z kieszeni banknot i włożył kotu do ręki. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już inni zaczęli podchodzić i za jego przykładem dzielić się z kotem dobrym słowem i jakąś niewielką sumą pieniędzy.

Parę minut później kot położył na sklepowej ladzie garść monet (banknoty schował do kieszeni). Oczy miał jeszcze zaczerwienione i lekko zapuchnięte. Nie chciało mu się więcej gadać, ale i nie musiał. Pani zza lady przygotowała dla niego zakupy już wcześniej, obserwując całe zdarzenie przez szybę. Też była poruszona opowieścią, chociaż wiedziała, że to nie była prawdziwa historia... Chyba.

Rozdział 8

Zły czarodziej wydostał się z butelki niczym gad wykluwający się z jaja. Kot rzucał się, krzyczał, pocił, leciał w przepaść... Sen wydawał się bardziej rzeczywisty niż rzeczywistość. Obudził się obok fotela. Poleżał chwilę. Jasność umysłu wracała powoli. Na wszelki wypadek zdecydował się otworzyć tylko jedno oko. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył butelkę z czarodziejem w środku i już nie wiedział, co było snem, a co jawą.

I tak było każdego ranka. Nie pamiętał, jak wracał do domu, a historie, które opowiadał na ulicy, mieszały się z jego prawdziwymi wspomnieniami i snem. Co dzień pełen lęków i niepokoju ruszał do drzwi, po czym jego dusza wypełniała się duchami przodków, dając mu siłę i wolę przetrwania.

Rozdział 9

– O, jednoręki bandyta! – Oglądał właśnie strasznie zmasakrowanego misia wyciągniętego ze śmietnika.

Miś miał urwaną łapkę i tylko jedno oko, na dodatek bezwładnie wiszące na długiej nitce. Kot od razu go polubił – na swój sposób byli do siebie podobni.

– Idziemy na łowy! – W głowie kota już rodziła się nowa dramatyczna historia, którą natychmiast musiał podzielić się ze światem.

Polowanie zaczęło się dość niewinnie. Usiadł na chodniku, obok siebie posadził Jednorękiego Bandytę i od niechcienia rozglądał się wokół. Po kwadransie wstał, wziął misia bez ręki i oka pod pachę i spokojnym krokiem ruszył przed siebie.

Nieoczekiwanie spokój i nonszalancja zniknęły i dygocząc ze zdenerwowania, podbiegł do starszej pani idącej do sklepu.

– Nie widziała pani psa z łapką mojego przyjaciela w zębach?
– W oczach kota była prawie prawdziwa rozpacz. – Taki mały czarny kundel na krzywych nogach.

Kobieta trochę się przestraszyła, więc kot już nieco łagodniej kontynuował:

– Pani patrzy, jak on wygląda. – Zaprezentował w całej okazałości bezrękiego misia. – To mój najlepszy przyjaciel.

Tu akurat nie zmyślał. Nie miał lepszego przyjaciela niż ten biedny miś, dopiero co znaleziony w śmieciach. Właściwie nie miał żadnych przyjaciół.



Twarz kobiety złagodniała i pojawiło się na niej współczucie, które zachęciło kota do opowieści o tym, że jego przyjaciel, który był sierotą, trafił do cygańskiego taboru, gdzie musiał tańczyć, chodzić po linie, żonglować i śpiewać... Tu kot zawahał się, ale widząc, że starsza pani nie zwróciła uwagi na ten oczywisty absurd, ciągnął dalej swoją opowieść, aż w końcu doszedł do momentu, gdy ten okropny pies pogryzł tak bardzo już pokrzywdzonego przez los misia.

Historia była jak zwykle poruszająca. Kot wreszcie zamilkł i dłuższą chwilę patrzył kobiecie głęboko w oczy, a przez te oczy jakby zaglądał do jej duszy. Teraz powinna sięgnąć do torebki po pieniądze. Czekał. Czekał... Próbował jej to podpowiedzieć, patrząc raz na nią, raz na torebkę, ale bez skutku. W końcu zrezygnowany powiedział:

– Jestem trochę głodny.

Pięć minut później, już w sklepie, kobieta wręczyła kotu torbę pełną jedzenia.

Rozdział 10

Zostawmy może na chwilę miasto i zajrzyjmy na wieś.

Od zimowego wieczoru, kiedy Anna zapaliła ogarek pod wierzbą, minęło już kilka miesięcy. Przyszła wiosna. Wieś się ożywiła, ludzie ruszyli na pola. Zresztą, co tu pisać, sami wiecie, jak jest przyjemnie, kiedy słońce zaczyna przygrzewać, a marmazyna z wyrazem zdziwienia na twarzy odpytywa w siną dal.

Dziad i Baba, podobnie jak inni, ochoczo ruszyli do pracy na świeżym powietrzu. Cały dzień się krzątali, żeby wieczorem usiąść sobie przed chałupą i pogapić się na zachód słońca. I kiedy tak siedzieli, ich wzrok niby to mimochodem powędrował w stronę słupa telegraficznego z okazałym bocianim gniazdem.

Baba westchnęła pierwsza. Pięć minut później westchnął Dziad. I tak wzdychali sobie, czekając na bociana, który i tak niczego z tej Afryki nie przyniesie.

Ot, nudy, wracajmy więc do kota.

Ale zajrzyjmy może jeszcze do stodoły, czy budowa łodzi posunęła się naprzód.

Otóż tak, chociaż do końca było jeszcze daleko. Na razie przypominała kształtem szkielet wieloryba lub jakiegoś morskiego potwora.

Rozdział 11

Wiecie już, że kot nie miał przyjaciół. Miał za to wielu nieprzyjaciół. Jednym z nich był pies wabiący się Lamota. Takie imię dostał na cześć sławnego boksera nazwiskiem La Motta, zwane go też Wściekłym Bykiem. Pies Lamota nie wyglądał szczególnie strasznie, powiedziałbym raczej, że żałośnie. Miał jednak pasukudny charakter i zawsze paru kompanów gotowych wykonać każdy jego rozkaz. Kot starał się nie wchodzić im w drogę, bo z tych spotkań – zbyt gwałtownych jak na jego spokojne usposobienie – zawsze wychodził poszkodowany (można nawet za ryzykować twierdzenie, że to właśnie on – kot w jednym bucie – zapoczątkował modę na poszarpane spodnie). Nie miał jednak tego za złe Lamocie i jego kompanom. Wiedział, że takie jest odwieczne prawo natury.

Kiedyś napisał o tym wiersz, a kiedy znalazł prawie dobry akordeon na śmietniku, przerobił ten wiersz na piosenkę. I grał, i śpiewał, i czasem wpadł mu grosz do kapelusza. Bo choć była to kocia muzyka, to chyba ludziom trochę się podobała. A może rzucali monety z litości, widząc Jednorękiego Bandytę siedzącego obok...

Dzieci, które często przychodziły posłuchać koncertu, już po kilku dniach razem z kotem śpiewały refren:

*Choćbyś imieniem swoim się szczycił,
w sekundzie jednej umknie ci z głowy,
gdy się przyczepi tobie do rzyci
nieokrzesany pies podwórkowy.*

Dzieciom nie wolno było zadawać się z kotem. Zawsze najpierw w którymś oknie pojawiała się gniewna twarz jednego z rodziców.

– Zostaw nasze dzieci w spokoju, ty... ty... – Tym razem zdenerwowana pani w oknie powstrzymała się od mocniejszych słów. – Zaraz mój mąż zejdzie tam do ciebie! – Potrząsnęła zaciśniętą pięścią. – Popamiętasz!

Tego nie musiała mówić. Niejeden już raz kot ratował się ucieczką przed panem uzbrojonym w trzepaczkę do dywanów.

– Ratuunkuuu! – wrzasnął, rozejrzał się i kiedy w oknach pojawiły się twarze ciekawskich, a pan oddelegowany przez żonę był już wystarczająco blisko, rozpoczął starannie przygotowane przedstawienie.

Znikał w jednej bramie, aby za chwilę pokazać się w drugiej. Nie biegł za szybko, żeby dać szansę goniącemu. Dzieci głośno dopingowały kota, chociaż wiedziały, że nie spodoba się to ich rodzicom i ta zabawa na pewno skończy się szlabanem na komputer, telewizję lub wychodzenie z domu.

Trwałoby to dłużej, ale nie wiadomo skąd pojawił się Lamota – mroczny bohater śpiewanej przed chwilą piosenki – i szarpiąc nogawkę kota, zakończył tak dobrze zapowiadającą się zabawę.

Slotna



Fragment książki
„Kot w jednym bucie”
Napisał i zilustrował Piotr Rychel

Wydawnictwo Bajka

Książka wpisana
na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

